

Kraina najczystszego powietrza
Carlos Fuentes

1

Nazywam się Ixca Cienfuegos. Urodziłem się i mieszkam w Meksyku. To nic takiego. W Meksyku nie ma tragedii. Wszystko staje się zniewagą. Zniewagą jest krew, która mnie kłuje jak kolec agawy. Zniewagą jest mój przerażający paraliż, od którego każda jutrzienka płami się skrzącym. I moje odwieczne salto mortale do następnego jutra. Gra, działanie, wiara – dzień po dniu, w godzinie nagrody i w godzinie kary, widzę swoją ciemną skórę i wiem, że gra, działanie, wiara są mi wzbronione na dole, na dole, na dnie doliny, kołyski meksykańskiego świata. Karzełek z Anáhuac nierozgniatający winogron-serc, gardzi napojem, balsamem ziemi, jej winem, jej szpikiem, nie uganiam się za radosnym trofeum, poluje na siebie samego, w czarnej mazi udręczonych kamieni i w matowych oczach jadeitu. Na kolanach, w cierniowej koronie z opuncji, biczowany swoją własną ręką (naszą ręką). Jego taniec (nasz taniec) przzerwany dziurym zdobnym pióra albo zderzakiem ciężarówki; ginie w kwietnej wojnie**, w bójce pod piwiarnią, w godzinie prawdy, jedynej godzinie, która przychodzi punktualnie. Poeta bez sentymentów, artysta męki, ugrzeczniony grubianin, szczery obłudnik, gubi się gdzieś moja bełkotliwa modlitwa, bzdura, głupstwo, igraszka.*

* Anáhuac (w jęz. nahuatl: „u ludu Nahuatl”) – aztecka nazwa Doliny Meksykańskiej; później objęła cały płaskowyż centralny łączący między dwoma morzami (przypisy tłumaczki).

** Kwiecne wojny – wojny Azteków z Tlaxcalanami, prowadzone w celu zdobycia jeńców na ofiarę dla boga Huitzilopochtli.

Maltretowany, ja – zawsze bardziej od innych, och, moja kłęska. Moja kłęska, z której nie potrafię zwierzyć się nikomu, każe stanąć wobec nieprzychylnych mi bóstw, żądających spowiedzi absolutnej, muszę przed nimi się wywnętrzać, żeby mogli dobrze poznać mnie i moich bliźnich. Och, oblicze kłęski, nieznośne oblicze krwawego złota i wypalanej ziemi, rozdzielającej muzyki i skłóconych kolorów. Wojownik w próżni, odziany w pancerz fanfaronady; w moich skroniach tłucze się szloch, ale nie przestaję uganiać się za słodyczami: ojczyzną, clitoris, czaszką z cukru, pyszałkowaną przysypiewką, mimesis uwieżonej bestii. Życie za czymiś plecami, z lękiem, żeby się samemu tyłem nie obrócić, ciało roztrzaskane, w odpryskach, ze skargą wyobcowania, oślepte wobec napaści. Zew wolności gubi się w sieci kręgów, bez kręgosłupa. Maczamy pędzle w swych szczątkach i zasiadamy na skraju drogi, by oddawać się igraszkom z kolorami. Umarty przy urodzeniu, spaliłeś za sobą mosty, by inni mogli z twego ścierwa sfabrykować epopeję; żywy po śmierci, pogrzebałeś słowo, które mogłoby nasze języki pogodzić podobieństwami. Zatrzymałeś się w ostatnim blasku słońca; potem twoje wydrążone ciało wypełniło się triumfem ponad miarę, twoje ciało nieruchome, materialne, utytułowane, udekorowane. W jazgocie silników i szaf grających towię echa dudnienia bębnow wśród kłębowisk obsypanych kosztownościami gadów. Węże, gady historyczne, śpią w swoich urnach. W twoich oczach lśni sfera tropikalnych słońc. W twoim ciele tkwi kolczasta obręcz. Weź się w garść, bracie! Wysuń pazury, naostrz nóż, nie potakuj, nie gadaj, nie współczuj, nie patrz. Pozwól oddalić się całej swojej nostalgii, wszystkim tym przykrym drobiazgom, zaczynaj codziennie od nowa, od porodu. I odzyskaj swój płomień, kiedy cicho, niepostrzeżenie trącane, zabręczą struny gitary, kiedy zagra uliczna katarynka, kiedy poczujesz, że otoczyły cię wszystkie twoje wspomnienia i że widzisz je jasno. Odzyskaj tylko swój płomień. Twój bohaterowie nie powrócą, aby ci pomóc.

Przybyłeś, nieświadom tego, żeby spotkać się ze mną tutaj, na tym płaskowyzu żalobnych klejnotów. Tu żyjemy, na ulicach krzyżują się nasze zapachy – potu i paczuli, świeżej cegły i gazu ziemnego, nasze ciała beżużyteczne i napięte, ale – nigdy – nasze spojrzenia. Nigdy nie przyklekliśmy razem, ty i ja, żeby przyjąć tę samą komunię, razem darci na strzępy, razem stworzeni, umieramy samotnie, jeden daleko od drugiego. Tutaj się zapadliśmy. Co mamy robić? Zaczekamy, mój stary. Może któregoś dnia moje palce dotkną twoich rąk. Chodź, spuść się razem ze mną w księżycową bliźnę naszego miasta, miasta – kloaki ścieków, miasta – zwierciadła oparów i mineralnego szronu, miasta świadomego naszej niepamięci, miasta mięsożernych urwistych głazów, miasta zastygłego bólu, miasta niezmierzonej lapidarności, miasta zatrzymanego słońca, miasta wielkich susz, miasta powolnego ognia, miasta z wodą po szyję, miasta łajdackiego letargu, miasta z siecią czarnych nerwów, miasta trzech pępeków, miasta nieszczerego śmiechu, miasta stęchłych odorów, miasta zawieszzonego między niebem a robactwem, starego miasta w światłach, stare miasto w swej kolebce złowróznych ptaków, nowe miasto w sąsiedztwie rzeźbionego pyłu, miasto na skraju gigantycznego nieba, miasto ciemnej polityry i klejnotów, miasto lśniącego błota, miasto trzewi i strun, miasto wymuszonej kłęski (tej, której nie możemy wywlec na światło dzienne, porażki sekretnej), miasto pokornych targowisk, miąsz bukłaka, miasto – zwierciadło furii, miasto spodziewanej porażki, miasto w zamęciu kopuł, miasto wodopój dla zeskorupiałych z pragnienia, ponurych gąb twoich braci, miasto amnezji, zmartwychwstanie dzieciństwa, ucieleśnione pióro, pieskie miasto, wygłodniałe miasto, arcymieścina, miasto pogrzebanego trądu i cholery, miasto. Opuncja rozżarzona. Orzeł bez skrzydeł. Wąż gwiazdny. Tutaj wyznaczył nam miejsce. Nic na to nie poradzimy. Tu, w krainie najczystsze powietrza.

GLADYS GARCÍA

– Och!

Sprzątaczkę klepnął ją w pośladki i Gladys wdychała już chłód poranka. Ostatnim spojrzeniem obrzuciła szare lustro, szklanki zamienione w popielniczki, wszystko pod stertami niedopałków. Chupamirto poziewał nad bębniem bongu. Cytrynowe światła pogasły, przywracając matowość palmom. Ulicą, między kałużami, przemyskał się kot, o źrenicach jak noże minionej nocy. Gladys ściągnęła pantofle, odpoczęła chwilę, zapaliła ostatniego (małe pulchne usteczka, zęby w złotej otoczkce) papierosa, na każdy kwadrans przypadał jeden. Na ulicy Guerrero trochę już obeszło i mogła obuwać się znowu. Przecznicą Bucareli przemknęły ze skrzypieniem pierwsze rowery, nie rzucając cienia, i już zaraz ruszyło parę tramwajów. Aleja przypominała róg obfitości dla śmieciarza: zwitki porzuconych gazet, odpadki z chińskich restauracji, zdechłe psy, starowina skamieniała w bezruchu nad jakąś puszką, dzieci śpiące w gniazdku z gazet i plakatów. Wszystko skąpane w świetle najwyższej z gromnic. Od Caballito* do rezydencji Doctores rozciągała się asfaltowa trumna, smutna jak rozpostarta ręka. Tylko zmartwychwstanie mogłoby przywrócić pulsowanie

* Caballito – Konik, popularna nazwa pomnika Karola IV.

krwi i serce w tym zaklętym kręgu. W perspektywie Karol IV i jego świta ze skarłatych neonów.

LOTONAL W CZTERECH PIĄTYCH RĘCZYMY ZA TWOJĄ WHISKY AND SODA GOODRICH WHISKY AND SODA GOODRICH

Gladys nie mogła wdawać się w rozmowy o smażeniu ani o papierowych czapkach krzykliwych gazeciarzy i ich brzuchatych dziewczach, wszystko to nie stanowiło dla niej tematu, bo nie znała dnia ani powietrza, które powłoką szarości i kurzu przegryzało powoli nowoczesne zwaliska tej ogromnej mieściny. Szła samotnie, jej ciało, jak prażoną kukurydzę w liściu bananowca, spowijała fioletowa satyna, obła figurka osadzona była na patykowatych nóżkach z płaskimi stopami. Rozdziawiła usta na całą szerokość, by podłubać w złotych zębach, cięte spojrzenie oczek jak czarne jagody. Co za nuda tak wędrować samotnie aleją Bucareli o szóstej piętnaście! Nuciała szlagiery grubego pianisty z „Bali-Hai”, *kobieto, boska kobieto śpiewał mi Beto tę piosenkę, taksówkarz, ten sam, co swoim pudłem woził mnie na spacer, gnaliśmy jak wiatr po ulicach, a Beto był chłop niczego i jaki figlarz!*

„Mała, tyś mnie porwała”, powtarzał;

„– Laleczka sama?

– Mogę być z tobą. Mam wsiąść?”

nawet Chupamirto go znał i przedrzeźniał, wyśpiewując do mikrofonu, *jestem taksówkarz, tak czy nie, taksówkarz*

„– Fajna jesteś, malutka, nie ma co. O-ho-ho, diabła masz za skórą, ale tańcuje

– Nie podpalaj się, kotku

– Też mi mniszka...

– Co ty ze mną robisz, och”

tak czy nie, taksówkarz, a żartowniś jak nikt inny, ależ mi się podobał, do twarzy mu było w tym kanarkowym swetrzysku

„– Nikt cię w szkole nie nazywał świnką?

– W szkole? Chyba żartujesz.

– Łaził za mną wiecznie jeden facet, kolos, nazywał się Mayeya, miałem go po dziurki w nosie. Byłem wtedy mały, cherlawy, a ten drań targał mnie za uszy. Aż kiedyś wykończyłem faceta, co wyglądał jak bliźniak tamtego. Posadzili mnie do mamra na dwa lata. Zobaczyłabyś go teraz. Kiedy mnie spotka, uśmiecha się parszywie, wiem, że to nie jest uśmiech przyjaciela. Jeszcze i teraz nie mam przyjaciół. Sama wiesz, jak to jest, wysiądzie taki, nie zapłaci i jeszcze wyzwie od mamusi. Dobrze, jak tylko cię zelży. Co gorsze, jak myślisz? Czy umrzeć na swoim łóżku? A może lepiej, jak napatoczy się facet i chrześcijańską ręką pomoże ci znaleźć się na tamtym świecie? Po co komu robić taką przysługę? Jeszcze słoweczko”.

I już mówił dalej, a to, co mówił, nie wyglądało na błagę.

„– Miałbym już dawno dość wszystkiego, gdyby nie dziewczynki i te rzeczy. Co dzień mnie ciągnie na takie tańce. Rozkoszne lalalalaaa, lalala. Co chcesz... Zrobili ze mnie nic dobrego...”.

Z nami wszystkimi tak bywa. Bruneci wołają blondynki, dlatego tamta jej go zabrała. Beto. A teraz przychodzi do niej co piątek zasuszony cherlak. Staruszek, któremu cuchnie z ust. Maniery wyższego urzędnika jakiegoś ministerstwa. Jedyne, który daje jej zarobić. Obejmuje ją w talii i skrzeczy: Brązowa rasa, dobra rasa dziwek! A potem opowiada jej kawały z brodą, jak to w każdy piątek żona daje mu wychodne. Ale to zupełnie co innego niż z Beto.

„– Podoba ci się show w «Bali-Hai»?

– Diabelnie, psiakość, ty mi się podobasz...

– Przychodź częściej. Przynajmniej raz w tygodniu. Jeśli masz ochotę, oczywiście.

– Już ci mówiłem, że co piątek zwiewam mojej starej. Zobaczysz, jak pięknie będziemy spędzali nasze piątki...”.

Tu przyszła na świat Gladys, w pustych pałacach płaskowyzu, w wielkim mieście – basenie pełnym czadu, rozrastającym się jak bezwstydnym parch. Pewnego dnia kilku gaczupinów* zawiozło ją do Cuernavaki. Wóz zepsuł się w Tlalpán. Nie widziała dotąd ani gór, ani morza i nagle zobaczyła kiełki jaramago, flirt morza i piasku, poznała twardość owocu niespliku, elementarne piękno... *morze, ty śliczne śliczności...* Przykuta do tego betonu i dymu gromadzi królewskie odpadki. Oczy zamknięte, wciąż zamknięte. Wyczerpana dotarła wreszcie do rezydencji Doctores. Zapaliła nocną lampkę. *Ty jesteś bogata, a my biedni, masz wszystko, a my nic, a przecież jesteś Matką Miłosierdzia! la jicotera no tiene cintura*** i położyła się. Osły? Talony, talony, spadające bezgłośnie na stół. Dziesięć pesos. Nie zarabiała już tyle co dawniej. Klienci stawali się coraz bardziej skąpi. *Stara? Trzydzieści lat. Do niczego? Niech powie Beto.* Po raz pierwszy zdarzyło się jej pomyśleć, co się stanie, kiedy nie będzie mogła zarabiać w „Bali-Hai”. Jak zarobić na życie? *Jutro pójdą do sklepu. Zapytam, ile płacą sprzedawczynie.* Wyobraziała to sobie. Liliana pożyczyci jej lisa, a jak nie, to weźmie swojego królika. *Gdzie są perfumy, które dali jej przy wejściu do kina? Pokłady szminki, nie ma nic szpetniejszego niż zarozumiała mina idiotki-turystki...* Talony, talony, *la cucaracha no pué caminar**** jak karaluch przyklepiona do zimnej ściany, w świetle nocnej lampki, traci czucie

* Gaczupin (*gachupin*) – pogardliwa nazwa Hiszpanów.

** „Bąk nie ma talii” – piosenka ludowa.

*** „Karaluch nie może chodzić” – pełna werwy, żywiołowa piosenka ludowa, pieśń wojenna oddziałów Pancha Villi.

w nogach, a brzuch staje się wielki, coraz większy *łaskiś pełna, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twójego Jezus. Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko.*

Z domu mody wyszła na ulicę. Deszcz lunął rześisty, mieszając się z szarością budynków. Miejski deszcz. Skazony wyziewami. Pozostawia plamy na ścianach. Nie przenika w głąb ziemi. Deszcz mineralny, bezład spuszczonej głów, ujarzmionych przez siny kocioł nieba, głów pochylonych, mokrych od deszczu i brylantyny. Fontanny meksykańskiego nieba, czekanie w rozpaczliwej ciszy, czekanie pod murem, ludzie pod ścianami jak skazańcy, salwa nie następuje; w deszczu ciała kościste i otłuszczone, przesiąknięte oparem benzyny i asfaltu, jednodominutowe mumie w tym deszczu. Pod deszczem: rozmazane napisy, drzemka kamieni, miasto jak okaleczona chmura, odór skóry i zarostu, jajeczniczy na wędzonce, zielonych płacht, ciche mruczando kół, urywki pieśni; niebo otwierało się bez przerwy, choć ani asfalt, ani Meksykanie o to nie prosili: niech walczy kurz z deszczem, niech wiatr gryzie twarze, niech sobie czeka ten i ów, przyciśnięty do ściany, jakby skąpany w zupie, proste wąsy, oczy szkliste, przemoczone stopy, wciśnięty w swoją niechlujną powłokę, cuchnącą i cherlawą, znaczoną plagami katarakt i furunkulów, uśpiony w niższy jak wieczny idol, w kucki, pod murem udręczonym samotnością, rozgrzebujący śmietniki w poszukiwaniu czegoś do ogryzania, niech czeka rasa nietoperzy. Niech sobie tam czeka, bliżej wilgotnego źródła, bliżej zaułków, deszcz w zaułkach, wszystkie małe suche kaszelki, samotni niech obejmują się pod deszczem! Jeden uścisk od wszystkich, kiedy profile odcinające się od pociem-

niałego tła mówią: ty tutaj, oni tam. Gladys połykała krople spadające z nosa. Tusz spływał jej po policzkach jak nocne łzy. Królik cuchnął. Gladys zatrzymała się i wyciągnęła rękę.

(– Ale głupio, no nie? Przypatrzcie się. Tak wygląda ta, co ma do czynienia ze snobami. Do diabła. Która godzina? Szósta. Otwierają o dziewiątej. I leje jak z cebra).

Zachłapiesz się, malutka! – motor przyhamował tuż obok. Otwierała się noc, jej noc, dana jej od aniołów, podarunek pustki. Kiedy Gladys szła aleją Juárez, miasto wydawało woń gazu. Gdzież są ci inni ludzie, których się kocha? Nie ma tu dla niej wygrzanego domu, gdzie znalazłaby przytułek, ona i tamci? Jej ludzie... *stary był ptasznikiem, o świcie wychodził chwycić ptaki, matka wtedy parzyła kawę z dodatkiem tequili, a my porządkowaliśmy klatki. Przy moście Nonoalco. Dali mi imię Gaudencia. Bo urodziłam się dwudziestego drugiego stycznia. Blacha nagrzewała się latem do białości, paliła, wszystkim grzała krew. Na jednym barłogu starzy z najmłodszym smar-kaczem. Na drugim ja z braćmi. Nie zdawałam sobie sprawy i nigdy się nie dowiem, który z nich mi zrobił to najgorsze. Ale blachy były gorące, wszyscy byliśmy tacy rozpaleni, tacy głupi. Miałam trzynaście lat. Tak właśnie się zaczyna. A potem już się na to nie zwraca uwagi.*

Naprzeciwko hotelu Prado natknęła się na grupę wysokich mężczyzn i jasnowłosych kobiet, obsypanych biżuterią, z papierosami w cygarniczkach. Nie byli to gringowie*, mówili po hiszpańsku...

- Pośpiesz się, Pichi, zaraz złapiemy taksówkę.
- Idę, chéri. Tylko poprawię woalkę.

* Gringo – pogardliwa nazwa amerykańskiego turysty w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, niemal powszechnie przyjęta wobec cudzoziemców spoza kontynentu.

– Norma, zobaczymy się w domu Bobó. Nie spóźnij się, nawet na orgiach obowiązuje brytyjska punktualność.

– A poza tym jak tylko zjawia się chór bachantek, ta kreatura Bobó zamienia veuve cliquot na rum negrita.

– Ciao, kotku.

– Bye, bye.

i podobni byli bóstwom, wznosząc się jak posągi, tu, na chodniku, ponad smagłym tłumem innych, co tam innych! ponad nią, która zlewała się z nimi, nieświadoma, siostra sprzedawców taniochy i biletów loteryjnych, wrzaskliwych gazeciarzy, żebraków i taksówkarzy, tłumy kaftanów poplamionych oliwą, szali rebozos, sztruktowych spodni, starych drepczących aleją sandałów. Ale dwa kroki dalej, na kiermaszu, gdzie były torby z krokodylej skóry i ocukrzone orzeszki ziemne, wydała dwa pesos na aluminiową cygarniczkę.

TAM, GDZIE JEST PĘPEK KSIĘŻYCA

Junior paplał jak katarynka, dziobiąc spojrzeniem prawą pierś Pichi. W ten deszczowy wieczór taksówka okazała się pojazdem mało skutecznym w wymijaniu dziur i przy każdym podskoku karoserii Junior nacierał na Pichi, ta spoglądała w lewo i zerkała na zegarek.

– Zobaczysz, jakie szalone zabawy urządza Bobó. Będą tam poeta Manuel Zamacona, egzystencjalistyczny filozof Estévez, niezwykły Księżę Vampa – bohater płaszcza i szpady, znana w świecie Charlotte Garcíą, tłum arystokratów, malarzy i najróżniejszych osobistości, cały Meksyk. Bobó nagle gasi i zapala światło, nie gorszy się, kiedy ktoś z kimś zamyka się w jego pokoju, wszyscy tam znają smak życia. Mój papa jest fantastyczny, za każdym

razem, kiedy wracam od Bobó, robi o, taką minę i zaczyna ponuro gderać nad swoimi herbatnikami: „Hultaje, alkoholicy, narkomani”. Fajnie, no nie? Biedny stary nie potrafi gadać o niczym innym, tylko o swoim majątku. Nudny dorobkiewicz. Ale kiedy wypłaca mi miesięczną pensję, gada jak najęty.

Pichi złożyła rozczochraną główkę pudelka na ramieniu Juniora.

– Jakie to nadzwyczajne! Znasz tyłu intelektualistów! Śmietankę na śmietance, jak mówią. Mnie też nie było łatwo się wyzwolić, nie myśl, i gdybym nie chodziła na wykłady z psychologii, mogłabym się nabawić Bóg wie jakich kompleksów. Och, używasz yardleya, świetny zapach...

Taksówka zatrzymała się przed rezydencją – balkony wykładane kolorową mozaiką, wielkie popiersie z lanego szkła – spod dachu wydostawał się brzęk kieliszków.

– Słuchaj – zwrócił się Junior do kierowcy – teraz przywieziesz tu pewną panią. Monte Ararat 3094. Szybko!

– Nie mogę, szefie – odpowiedział zakłopotany kierowca, drapiąc czoło z czerwoną blizną. – Dziś naprawdę nie mogę, innym razem z przyjemnością.

– Jak to nie? Co to za zwyczaj! – irytował się Junior i – widząc się już w bawialni Bobó – pracowicie wyciągał jedwabne mankiety koszuli.

– Nie, doprawdy, nie mogę – bronił się kierowca. – Kiedy indziej. Barrilaco jest diabelnie daleko.

Junior oświetlił zapalniczką wnętrze wozu.

– A więc będzie sprawa Juana Moralesa, numer rejestracyjny 37242. Pomówimy z kierownikiem bazy...

Na twarzy Juana Moralesa pojawił się uśmiech.

– Będzie, co ma być... – i zapalił silnik. Zdusił w sobie chętkę, by na pożegnanie nacisnąć klakson, skrobiąc się w czoło, włączył drugi bieg i zaczął gwizdać.

– Bezczelni, coraz bardziej bezczelni – westchnął Junior i skierował się w stronę windy, ująwszy Pichi za ramię.

– Mały całus, moja śliczna, o, taki malutki, no... Nie bądź niedobra.

– Później, Junior... nie targaj mi woalki. Powiedz, kto jeszcze tam będzie?

– Wszyscy z najlepszych sfer, i Pimpinela, i „złota dziewczynka”, mówię ci, Pierrot to kapitalne stworzenie, mówią o niej niedobra dzidzia z dobrego domu, zobaczysz... ach, i niejaki Cienfuegos. Uważaj i trzymaj się od niego z daleka.

Lakierowane drzwi otwały się na atmosferę gęstą od dymu papierosowego, rozproszonych oparów kadzidła i wykwintnych perfum. Pichi i Junior weszli z uśmiechem, wołając:

– Bobó, Bobó!

– Najmilsi! Chodźcie szukać Odwiecznych Prawd! Znajdziecie tu Indianina z tacą i napojami. Voici, oh, Rimbaud! *Le temps des assassins**.

Bobó biegł w podskokach, jego kwiecista kamizelka, swoisty anons gospodarza, uciszała gości. Na małej estradzie obok schodów recytatorka (oczywiście z basenu Morza Karaibskiego) zajęła swoje miejsce z wzrokiem utkwionym w posadzkę, jakby chciała wyczarować z niej artystyczną, literacką reprodukcję uczyty Baltazara. Kiedy zapadła cisza, znakomitość, z gwałtownym gestem ciała i falowaniem neohelleńskiej, zdrapowanej pod biustem szaty, wzniosła oczy w niebo.

Ziemianie na mojej ziemi,
Skargi moje wpycham w łono.

* *Le temps des assassins* – „czasy morderców”, tak nazwał Rimbaud swoją epokę po zdławieniu Komuny Paryskiej.

Ci, którym wolę wszczepił Darío
I których wolę poskromiono...

Goście dali się ponieść melodii wiersza. Wokół Manuela Zamacony zebrała się jego świta – wianuszek młodzieży i starszych dam, Estévez rozmawiał w kącie z dwiema dziewczynami w okularach, Pierrot Caseaux podtrzymywał konwersację dyskretnym szeptem, wdzięcznie balansując wielkim kielichem koniaku. Charlotte García lekceważącym gestem wymachiwała nad ciastem lornetką na łańcuszku, podczas gdy Gus w towarzystwie Księcia Vampy półgłosem dawał upust swemu niezadowoleniu z powodu nieobecności fotografów na przyjęciu. Silvia i Roberto Régulesowie z zastygłym na twarzach uprzejmym uśmiechem siedzieli nieruchomo na kanapie, jakby uwięzieni między dwoma pociągami, które mijają się w żółtym tempie. Argentyniczek, humanista Dardo Moratto, przeglądał w bibliotece gospodarza białe kruki. Recytatorka deklamowała cichym głosem, jakby z oddalenia, świadoma dystansu, jaki obowiązuje wytrawnego kawiarnianego pianistę wobec szmeru głosów klienteli. Pichi i Junior znaleźli się przy barku i pocierając sobie nosy, porozumiewawczo mruknęli *Hmmm*.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział, zbliżywszy się do nich Bobó. – Poczekajcie, aż przyjedzie Lally ze swoimi perkusistami. To będzie gwóźdź programu.

IXca Cienfuegos wszedł do salonu i zatrzymał się, zapalając papierosa
przede wszystkim dać się ponieść tej fali, nie zadawać pytań, nie rozróżniać twarzy, dać się prowadzić zgiełkowi i cieniom, pustym płomom. Zmiana światła. Żółte. Do twarzy im w tym kolorze. Bobó powinien zainstalować jeszcze promienie X. Czyżby miał trudności z zakupem aparatu Roentgena?

Zwierciadła. Plamy powielane nieskończoną ilość razy. Światła, plecy, talie, po tylekroć golone pachy, wszechobecność seksu, technika wypuszczania dymu, dać się ponieść, zaduch... ciała i wonie, nie sposób się ich pozbyć, można je tylko uczynić mniej lub bardziej wytwornymi. Te ciała nie są wytworne, raczej wyrafinowane, a ich zapach agresywny, arystokratyczny. Twarze, teraz tylko twarze. Trzeba dać się ponieść. Zapomnieć o sobie samym, kluczem szczęścia jest zapomnienie, trzeba trzymać się na wodzy, ujarzmić innych

Reprodukcje na ścianach – szkarłat, siena, kobalt – naśladowują wypukłości faktury. Chagall, Boccioni, Miró. I jedyny oryginał Juana Soriano, niebieskie bawoły i żółty piasek. Na podłodze idole, u stóp futurystycznego cyklisty otwarta rana skarłowaciałej bogini Coatlicue. Jakaś pnąca roślina i cyneraria pod oszklonymi drzwiami ogromnego balkonu, a między butelkami baru obwieszona ludową ceramiką wycięta z „Esquire” Amerykanka, nylonowe ciało, spojrzenie słodkiej świnki. Manuel Zamacona, półożąc na kanapce, głodził potarganą czuprynę. Jego grecki profil kontrastował z potężnymi, obwisłymi policzkami, z ust wydobywały mu się nieprzerwanie kłęby dymu, wypuszczał je powoli i z namaszczeniem. Czynność ta pochłaniała uwagę akolitów – młodych pisarzy, których ściągnęło tu potpourristyczne szaleństwo Bobó i wymalowanych starych damulek, które pewnego razu dały się uwieść wielkiemu Barbie Jacobowi* – i koncentrowała ją na tej części twarzy, którą Zamacona uważał za bardziej foremną.

– Oto czego poeta nie może teraz negocjować – swojej życiowej misji nazywania po imieniu chleba i wina, zakładając naturalnie, że ma on pełną świadomość, czym

* Barba Jacob (1883–1924) – kolumbijski poeta niezbyt wysokiego lotu, otoczony legendą życia pełnego skandali.

jest chleb i wino. Wówczas może iść dalej, docierać do sedna rzeczy i opanować je, a więc przestanie być ich niewolnikiem...

– Ale poeta jest przede wszystkim człowiekiem nazywającym rzeczy – odezwał się pewien zezujący młodzieniec.

– Tak, jeśli nie poprzedza swych „nazw” inicjałami United Press. A zatem, przy założeniu, że nasza epoka historyczna jest trudna do zrozumienia, znaczyłoby, że poezja dzisiejsza – jako mało rozumiała – miałaby z naszą epoką stopić się w jedno i wreszcie razem z nią zniknąć?

– Och, święte słowa...

– Duma, panie Zamacona, oto co trzeba...

– Właśnie, trzeba mieć dumę. Panowie rozprawiacie wciąż o imperializmie jankesów. Pytam więc, czy deprecjonując nasze słowa, a zatem i naszą wyobraźnię, nie wspomagamy go przypadkiem, i czy na odwrót, starając się – z tą najpokorniejszą na świecie dumą – nadawać ekspresję naszym słowom i naszej wyobraźni, nie jesteśmy bardziej ludźmi i bardziej Meksykanami?

– Walka z imperializmem musi być bezpośrednia, musi dotrzeć do ludu...

– Proszę mi nie zasłaniać oczu słowem „lud”. Jak pan sądzi, ale proszę o szczerłość, co będzie bardziej zrozumiałe dla ludu: „Wracam do ciebie, samotności, pusta wodo, wodo mego odbicia, martwa wodo” czy „Wielki Ojciec Stalinie, ostojo robotnika”? A poza tym proszę nie mieszać dwóch różnych spraw. Wasza walka, przyjacielu, przeciwko imperializmowi, jest godna najwyższego uznania, ale musi być skuteczna, z imperializmem walczy się na odcinku jego interesów, pisanie socrealistycznych kupletów to żaden oręż. A tak naprawdę to co pana interesuje bardziej, skuteczna walka z imperializmem

czy też samozadowolenie, a może przekonanie, że jako głosiciel dobra i sprawiedliwości jest pan powołany do wytykania i karania złych jednostek?

Młodzian z wadą wzroku wstał gwałtownie, obsypując popiołem stare damy:

– Dekadent, sprzedawczyk, zapowietrzony purysta! Ile panu płać w Departamencie Stanu?

Manuel Zamacona spokojnie zaciągnął się dymem:

– Nawet od błazna wymaga się szczypty uczciwości i wyobraźni.

Federico Robles nacisnął guzik.

– Słucham pana – stęknął ochryply głos sekretarki.

Robles, pochylony nad biurkiem, muskając kciukiem jedwabny krawat, przykleił usta do mikrofonu.

– Proszę wezwać tych ze Spółki na sobotę, godzina dziesiąta. Porządek dzienny: transfer kapitału Librado Ibarry. Punkt dziesiąta. Jeśli Ibarra znów zadzwoni, zechce pani przełączyć. To wszystko.

– Dobrze, panie dyrektorze.

Równocześnie z pyknięciem w aparacie Robles podniósł się ze skózanego fotela. W mahoniowych ścianach gabinetu, między kobiercami, przypomnieniem czasu było miarowe tykanie zegara. Dziewiąta wieczór. Federico Robles obserwował swoje niesamowite odbicie w oknie. Jego oblicze jaśniało jak popiersie Generała Díaza. Widział się w blasku splendoru. Przesunął paznokciem po tuszującej wydatny brzuch kłapie marynarki. Z przyjemnością obrzucił wzrokiem wypolerowane paznokcie. Zadzźwięczał aparat.

– Dzwoni pan Librado Ibarra, proszę pana.

– Proszę łączyć.

Robles przymknął oczy. Proszę łączyć. Librado Ibarra. Wyobraził sobie nagle: trzy tysiące pesos wkładu. Mysia szarość ubrania. Nieodłączny odór taniej kuchni. Łysi-
na, marne włosięta zaczesane „na pożyczki”. Wyłupiaste, pokorne oczka. *Czy coś jeszcze? Tak... Nie... to wszystko, to wszystko*

– Proszę łączyć... Co nowego, Ibarra? Jak noga? To w porządku. Nie, nie było mnie w biurze. Nie powie-
dzieli panu? Czym mogę służyć?

noga w trybach maszyny, maszyna nie przestaje pracować, dławi się, łąpczywie żuje obce ciało starca, wystawione na żer stalowych trybów

– Tak, oczywiście. Przykro mi, nie mogłem odwiedzić pana w szpitalu. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że poza tą maleńką spółką prowadzę inne, większe... Nie, nikt nie zostawił dla pana wiadomości. Oczywiście, zrobimy to dla pana

trzy tysiące pesos wkładu, spółka akcyjna, dwudziestu trzech udziałowców, starzec w wyszmelcowanym ubraniu dogląda maszyny i patrzy robotnikom na ręce, żeby nie kantowali

– Jak to, panie Ibarra? Wypadek przy pracy? O czym pan mówi? Niechże pan nie robi ze mnie idioty! Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością, Ska z Ogr. Odp.

– Nie, przyjacielu. Od początku do końca jest pan w błędzie. Jako akcjonariusz zobowiązał się pan przecież do dodatkowych świadczeń. Wypadek przy pracy to pańska sprawa. Otóż to, pańska... Ograniczona odpowiedzialność? Niechże pan nie będzie dzieckiem. Jak się panu wydaje, z kim pan mówi? Czy wyobraża pan sobie, że jakaś poważna instytucja udzieli nam kredytu przy ograniczonej odpowiedzialności? Moja odpowiedzialność musi być nieograniczona.